

# BALAMUT.

## PRZEMIANY OWI- DYUSZA. \*)

Póki, mości panowie, było cicho na ziemi, póty wszystkiemu było błogo. Nie chwyłali parobcy, w nieprzytomności gospodyni, z pieca choćby i przerastała słoninę. Nie łaziły do cudzych ogrodów w nocy dzieci sąsiada. Nie umizgali się do mecenasowskich żoneczek guwernerowie. Nie okradali oficjalisieci swoich panów. Wszystko było całe, wszystko bujało bez zazdrości. Ale od tego czasu, jak jęspan ekonom zaczął karmić czeladź grysem. Jak chłopcy ogłodzone, po wsiach, musiały same sobie szukać zéru; Jak żona pana sędziego, na onufrejskim jarmarku w Berdyczowie, nie dostała warszawskiego koczyka, i w bryczce, bodaj czy nie bez resorów, do domu wróciła; a ichmość dworzanie, zaczęli się nie-

\*) Artykuł ten razem z następującym i kilku innemi, które w przyszłych N. N. umieścimy i za które szanownemu Korrespondentowi najgłębszą oświadczamy wdzięczność, otrzymany przez nas został przy arcy wymownym liście, który tu dosłownie umieszczamy:

Czcigodny Panie Redaktorze!

§ — — — — — ; — — — — —  
— — — — — ; — — — — — ? — — — — —  
( — — ) — — — — — ! — — — — — " — — — — —  
— — — — — " — — — — — . — — — — — ( ) — — — — —

Wielmożnego Pana Dobrodzieja  
uniżony sługa

ŁAZARZ ZAPRZANIEC.

1854

3 Stycznia.

P. S. Ośm arkuszy dołącza się Drobiazgu.

doliczać należnego jurgieltu, — wszystko, mości panowie, przewróciło się do góry nogami. Wszystko się zmieszało, jak w kotle Lotysza nad brzegami Dźwiny. Wtedy-to dopiero zrodziła się kwaśna kapusta i gryząca cébula. Wtedy to dopiero po głowach kłopotami osypanych, rozlała się gorzałczana para. Rozroiły się, jak we pszczoelnym pniu, na Pobereżu, (nad Dniestrem), romansowe kabały, którychby objąć nie mogły i żyźne dzieła Walter-Skota. Poczęły się rozrywać węzły sejmikowe. Pani marszałkowa, po trzech leciech słodkiego pożycia, nie chce już kochać *protunc* prezesowicza *ad praesens* swego męża. J. W. Kasztelan dobrodziej nie płaci długów. Żyd, na arędzie, obdziera chłopów. Delikatny elewek nie może się uczyć grammatyki. Panna Apollonia za mąż nie idzie i nie idzie. Ja, nawet sam, co piszę, (uważcie mości panowie!) ja nawet sam, co to gryzmołę, jeszczem nie żonaty i jak bizun goły!! Zawszad pisk, wisk! hałas rwetes!! I nastał wiek żelazny, chyba kowalom przydatny. — O wieki ubiegłe, od złota i srebra! gdzieżeście się podziały?!! Czy was żydzi, w Brodach, przepotopili nn świeczniki do Jerozolimy? Czy alopatyczni lekarze zakorkowali w aptecznych butelkach?! Czy nienasycony jaki plenipotent wywiózł na forsowanie sprawy?!!! Czemuż to ja wśród was nie żyłem! Nie gryzłbym, jak dzisiaj, pióra i palców atramentem nie mazał... i... i... byłaby moja! W takiej zawierusze, w takim rzeczy nieładzie, szukajże sensu! Jeden tylko pan Kierkiło, przez 12-ście lat graniczny sędzia, jest na swoim miejscu. Od r. 1788, skoro przyjechał w kolebce do powiatu, aż dotąd wstaje o godzinie 7 zrana i do 10 w wieczór nie nie robi. Kiedy mnóstwo przygód wokoło niego z wiatrem przeleciało, kiedy ze świątyni odległej pamięci cętkowane tylko ściany w Owruzu (\*) pozostały, on jeden tylko, nieczém niezmienny, stoi jak niedostępna skała, której wierzchołek, śniadym mchem obrosły, wdzięcznie

(\*) Czytaj wzorowe dzieło architektury w polskim języku.

się ku zachodowi polyskuje. Od tejto, jeszcze raz powtarzam, epoki, cała ziemia przetworzyła się w reductową salę, w której ciągły gwar i hałas, ciągła maskarada, ciągle *przeobrażenia*.

U pana Stolnika mozyrskiego był jedynak, na imię Pafnucy. Dziecko potulne, bo w pieluszkach spowiwane. W lat 18, patrzgo mospanie! już akademik!..... Uczył się tego. I, po czwartym roku, zostawszy doktorem obojga prawa, nad Prypec, do rodzinnej swej zagrody powrócił. Ojca nie zastał. I długów nie znalazł. Ale była wioseczka nie zła, prócz wszelakiego dobytku, z zasobem kilkunastu tysięcy złotych. Osiadł w niej spokojny Pafnucy. Zaraz go polubili sąsiedzi. Powietnicy nawet poważali. A mozyrskiej szkoły nauczyciele, postrzegłszy dwutysięczny zapas wybrańszych książek, wysoki dlań powzięli szacunek. Był rządym gospodarzem, udzielał się skwapliwie potrzebującym, nie włożył się po jarmarkach, kontraktach i sądach. Obowiązki religii spełniał raczej z przekonania niż z nałogu. Miał charakter stateczny i rzetelnym był w słowie. Nie myśliwy, nie umiejący grać nawet w wista, w chwilach wolniejszych zajmował się książkami. W takim stanie zbiegło mu lat siedem; — kiedy nagle mała okoliczność, (powiadają że wpadł między.....), zmieniła scenę jego widnokregu. Pieniądze się rospelzły, wioseczka przed oczu znikła, a ruchomostki, chcąc się wybiegać przed nędzą, sam wreszcie rosprzedał. Teraz jest za 500 zł. prywatnym nauczycielem w domu J. W. Podlubajły, przy czterech jego synkach. Z odgłosu powszechnego, który nigdy nikogo nie mylił, wiadomo nam, że ów doktor prawa, ów kilkokrotnie obierany urzędnik, ówto szanowany niegdyś w całym powiecie z nauki i zdrowego rozsądku obywatel, dzisiaj i trzech przeliczyć nie umie. Uczy tylko a, b, c... pali fajkę ... i w 34 roku życia widzi się osiwiiałym, zgrzybiałym, zgarbionym i skołatany chorobami starcem, tęskniącym do grobu, jak stara gęś do wody. — To jedna *przemiana*. (metamorphoseos).

Okolo Braclawia, podsędek Krzepicki miał w wiosce dziedzicznej pięć córek i kilku synów, których tu nie liczę. Rosną sobie te córeczki, i rosna na chwałę Bożą. Cieszyli się rodzice, radowali się sąsiedzi. A nawet palestra powiatowa i przyjezdni studenci z Humaniana dobrej byli otuchy. Kiedy, nadspodzianie, w pobliskim miasteczku zjawia się *madame*, francuska ze Lwowa i, za usilną proś-

bą mieszkańców, pensją żeńską zakłada. Nastąpił werbunek, i *madmoazelki* podsędkowny nie wykreśliły się przed nim. Uczą się, uczą się, aż się i wyuczyły, i na wieś wróciły, do *szer papy* i do *szer mamy*. Kochane *maszerki*, *madama* *Zanlis* przepiękowane. Co tu robić? Daćli zakopać ślicznie rozwinięte przymioty w nędznej, odludnej wioszczynie, jednemi topolami ocienionej? Nie. Tegoby nie zniosła pani Krzepicka. Trzeba je z przestronniejszej widowni ukazać światu. I stało na tem, że jedną, w charakterze *modmoazelli de sosijeté*, umieszczono na dworze pana starosty, dwie u pani wojewodzinej, i dwie jeszcze u pani marszałkowej gubernijalnej. Szkoła wielka! Professorów hukiem: i to książąt, hrabiów, jenerałów, it.d. it.d. itd!! Jedną z nich była nawet w Warszawie, i z głośną autorką tamedycznych pism czasowych zapoznała się. Co za chluba dla wieśniaczki! Drugie Lwów zwiedziły i unosiły się nad sławą wielkiego muzyka; a ostatnie, podobno przez Drezno przejechały. W końcu wszystkie, prawie jednocześnie, osiadły w domu rodziców, kiedy najmłodsza z nich skończyła dwódziesiąty krzyżyk. I wszystkie osiadły na koszu! — To druga *metamorfoza*. — Ale pewnie ichmościowie zagabniecie mnie pytaniem: dla czego? Otoż — zaraz opowiem. — Może kto z was, mości panowie, bywał kiedy w sali mineralogicznej ś. p. profesora Dudzińskiego? — Niechże przypomni sobie, co się na jednej z jego lekcyj zdarzyło. Opisałszy charakterzy zewnętrzne jakichś tam, zapomniałem, mineralów, wymieniwszy kopalnie i Kremnitz i Szemnitz, i Kremnitz i Szemnitz, gdzie się one znajdują, rzekł wreszcie do nas uczony ów professor: »Kamienie te są rzadkie i bardzo rzadkie. A wiecież dlaczego? Oto, zaraz wam powiem... (tymczasem przeziara pudelka)... Rzadkie i bardzo rzadkie... (a czy nie schwylił który z was jakiego kamuszka?)... Rzadkie i bardzo rzadkie... (zdmuchiwa pył s kamieni: pf.. pf.. pf..)... Rzadkie i bardzo rzadkie... (okrywa papierem)... nareszcie, z podniesieniem głosu, zakończył ważnym argumentem iż rzadkie są *bò drogie!*» Były zaś, jak uważałem, pięknie wyszlifowane i à jour oprawne.

A pan Łapucapu, niegdyś komisarz, dziś obywatel mający nie małą w okolicy konsyderyacją, posuwając pasa w górę, powiada, że to wszystko *durenstwo*. — «Na co tu uczyć się! I człek był w Traskunach. Ale jak mi przyprowadzono ogórkami pośladek, poznałem o

co rzecz idzie! Uciekłem, mosanieńku mój, ze szkół i dopadłem dworskiej klamki. Dziś, Bogu dzięki, co innego! Kiedyś to wszyscy, mosanieńku mój, krzyczeli: iż pana za granicą bawiącego okradam, iż o połowę mniejszą ceną sprzedaję produkta, iż, co roku skupuję o połowę większą ceną niezbędne artykuły. Ze ja, mosanieńku mój, nie wiedzieć co! A tymczasem pokazało się dziś, jak na dłoni, iż to wszystko nie prawda. Gdyby tak w rzeczy samej było: czyżby się ludzie na tém nie poznali! Za cóżby mnie teraz estymowano i powoływano na urzęda? Takto, mosanieńku mój, człekby się nie łatwo przemienił!» To trzecie *przeobrażenie*.

Pocziwe to człeczysko, ale głupie: szepnął mi do ucha sprawnik o panu rotmistrzu z województwa dawniej mściśławskiego, który, w zapeckanej szujce, siedział u Jankiela Jeki, nad kwartą piwa, w Oszmianie. «Czemu to nie daré było łyka, kiedy się darły. Przez lat 19 był rzadcą dobr od dwóch tysięcy dusz na Białejrusi. Umiał po łacinie *expedite*. Jeździł czterma końmi na resorach. Żył otwarcie. I synów do akademii posyłał. Ale cóż asan powiesz? Przyczepił się na swoją biędę, jak plastr miodu, do swego pana, który o 50 mil mieszkał, a któremu duszą i ciałem był zaprzędany, i zginął marnie jak mucha! Obiecywał mu wprawdzie pocziwy jaśnie wielmożny Pryncypał, że niepoślakowana jego gorliwość na dobre kiedyś wyjdzie; że o nim ciągle pamięta; że prędzej lub później zrobi mu donacją wioseczki na dożywoicie, aby, dla honoru pańskiego, po starganych na dworskiej służbie siłach, miał na ostatek życia spokojny kawałek chleba. Tymczasem, pana djabli wzięli, pani się rozwiódła, majątek poszedł pod rozbiór czy exdywizyą, i jego mośpan rzadca przedzierzgnął się na dudka! Czemu też nie było myśleć o sobie za dni zwinnej młodości? Nie chodziłby teraz o kiju i nie wycierał cudzych kątów.» — «*Contra bonos mores*, mości Sprawniku! zawołał pan Cześnik, klasnąwszy o stół pięścią. Nie godzi się pomawiać ślacheica dobrze urodzonego. Winienże temu pan Rotmistrz, że pryncypał jego, ta chlubna cząstka krwi zacnego domu, po szesnastoletniem pełnieniu, z chwałą nieodrodną swych przodków, najpiérwszych między nami urzędów, zrobił się wkońcu szachrajem? Znałem tego paniska, rzeczce dalej zaperzony Cześnik: znałem, i wspólnie z innymi czeilem w nim niegminne duszy zalety. Wspaniałość, rzetelność i prawość otaczały dostojną jego

osobę dopóki farmazony nie opadły go i nierostoczyły! — A to, nie wiem sam, azali może się nazwać czwartą *przemianą*!

Krzyk! hałas! — Cóżto? — Kassyno w M. ....! — «A waćpani zapomniałaś, kiedy w W. .... przedawałaś na targowicy i krupy i mąkę; kiedyś potem przeszła do pana Czubkiewicza na klucznicę; kiedyś, stamtąd wygnana, szukała przytulku u pana Szabelskiego, a teraz, patrz ją, zadziera nosa wyżej piór strusich!» — Coż to za jedna? — To pani chorażyna. — «A pandziej nie pamiętasz, że, przed niewielą latek, pędzałeś wody do Śląska? Dziś panek z naszej łaski, jaki buńczuczny, i, w przechodzie do buffetu, jakby rogiem, bodnął łokciami w sznurówki moich córek!» — Ktoż to taki? — To jaśnie wielmożny Deputat. — «Patrzno go! pan dobrodziej!! I wspomnieć nie raczy, kiedy chodząc ze mną do szkół Barskich, nie miał czém butów latać; że mu tam jakiś professor nawet książki kupował, bo sam był zawsze pizus! Tutaj zaś chce udawać coś większego!» — Otoż kilka razem *przemian*. — Niegdyś, za s. p. dziadów naszych, kiedy ziemianin Arpinu, z parafii toskańskiej, bodaj i nieślachcie, siedział, jak asesor na śledztwie, na krzesle ze słoniowej kości, togą purpurową okryty, jakiś tam adwokat z Lidy, w sprawie rozwodowej bawiący, poszepnął palestrze zaprzędanej jaśnie wielmożnemu Katylinie, że ten nibyto orator, jest żywcem plebejusz! Wieść ta piorunem gruchnęła poza kratkami i sam pan Marek Tulliusz spuścił nos na kwintę! — Coż tu więc dziwnego, pomyśliłem sobie! Już ciż co Rzym to nie nasza mieścina! — Co *forum*, to nie Kasyno! — (*Za dalszy ciąg nie ręczę.*)

ŁAZARZ ZAPRZANIEC.

## CO LEPSZE?

Każdy ptak według nosa swego śpiewa.

K N A P S K I.

Czy drażki, czy dorożki?

Czy skałka, łuczywo, szeczepka, czy błonka?

Czy szpara, szparka, czy szeczelina?

Czy za nadra, czy za pazuchę?

Czy szarować, czy szorować?

- Czy trześnie, czy czereśnie?  
 Czy nawłeczka, czy poszewka?  
 Czy zszyj, czy sposzyj?  
 Czy schodź, czy pójdź?  
 Czy dachówka, czy czerepica?  
 Czy dójrzewa, dojrzwały, czy dościga, dościgły? (NB. On niedościgły w myślach.)  
 Czy družba, czy cioska?  
 Czy wóz, fura, czy kolasa?  
 Czy kałamaszka, czy wózek?  
 Czy hreczuszki, czy oladki?  
 Czy kolduny, czy piérogі z mięsem?  
 Czy sérniki, czy piérogі z sérem?  
 Czy uroda, czy wzrost?  
 Czy słaby, czy chory?  
 Czy cierlica, miédlica (jak mówi Knapski,) czy makutra?  
 Czy kapusta słodka i kwaśna, czy kapusta i kapuśniak?  
 Czy ratusz, czy magistrat?  
 Czy rynek, czy targowica?  
 Czy gryka, czy hreczka?  
 Czy brylik, czy kozérek, czy daszek u czapki?  
 Czy zakładać, czy zaprzęgać?  
 Czy objaśnić, czy utrzcć świecę?  
 Czy gromada, czy wiele?  
 Czy zawalki, czy gruczoly?  
 Czy koczerga (pogrzebaszka,) czy kotiuba?  
 Czy kisiel, czy żur?  
 Czy konno, czy wierzchem jechać?  
 Czy kolébka (cholebka), kołyska, czy lulka?  
 Czy zaczepiać, czy zagabać?  
 Czy gadać, czy mówić?

L. ZAPRZANIEC.

## ROZMAITOŚCI.

Z listu jednego z naszych Chińskich korespondentów dowiadujemy się o ciekawym,

choć nie zupełnie już w Europie nowym, sposobie, zaopatrywania się, w razie nagłej potrzeby, pieniędzmi, wziętym s przykładu świeżo zdarzonego w miasteczku Pi-pi-fong, mającym zaledwie 789,987 ludności. Urzędnik nazwiskiem Bim-bam-bum, wysłany tam był, w ważnej nader sprawie, gdzie wszystko zależało od jego sumiennosci i charakteru, niedostępnego ani metalicznym ani papierowym pokusom. Że jednak sumiennosc najlepszym jest przewodnikiem epidemicznych kieszeniowych suchot, s których corocznie, w Państwie Chińskim, umiera do 17 milionów mieszkańców, stąd, nie dziwnego że i szlachetny Bim-bam-bum, pod koniec swojego zawodu, uczuł nagle śmiertelne choroby tej symptomata, mianowicie zaś nieznośny kurez w palcach, odęcie żołądka i puchlinę w języku, który do tego stopnia skolowaciał i spęczniał, iż musiano mu doń przystawić 24 pijawek, dla zapobieżenia żeby, nakształt petardy, nierozsadził wreszcie policzek. Wszyscy ubolewali nad jego stanem; tysiące szlachty i szlachecianek Pi-pi-fongskich, codziennie dowiadowało się o szacowném jego zdrowiu, i powszechna troskliwość tem bardziej rosła, iż poczęły się roschodzić wieści o bliskim jego odjeździe. Sam jednakże Bim-bam-bum wcale przeciwnie twierdził, i, na dowód że o tem ani myśli, wypuścił na loteryę Nankiński swój koczyk, oceniwszy go w summie 29,789 razy większej od tej jaką sam zań, przed 10 laty, zapłacił. Rad nie rad, każdy dziesiątek biletów wzięść musiał, przenosząc stratę kilku sztuk złota nad kapitał kilkuset bambusowych kijów w pięty, których w razie przeciwnym niechybnie mógł się spodziewać. Cieszono się tylko nadzieją bliskiej rozegranej. Ale jakież było zadziwienie kiedy się wreszcie jednego ranku dowiedziano, iż sam P. Bim-bam-bum z urzędu złożony został i, razem s koczem, w nocy, jak świetny meteor, z widnokregu zniknął!

Balamut wychodzi raz na tydzień, w Soboty. Cena roczna z pocztą r. ass. 20. Prenumerować można zapisując odczwy do Redakcyi, (Въ Редакцію Баламута, въ книжной Лавкѣ Смидина, въ С. Петербургу,) lub do Gazetnej Expedycyi tutejszego Pocztamtu (Въ Газетную С. Петербургскаго Почтамта Экспедицію.)

Exemplarzy Balamuta z lat zeszłych dostać można udając się do samej Redakcyi, pod wyżej opisanym adresem. Kompletny exemplarz z lat czterech, od Maja 1850, aż do końca 1855 roku, kosztuje r. ass. 55; Pojedyncze zaś exemplarze z któregokolwiek roku, oddzielnie, po r. ass. 17 kop. 50; prócz roku 1850 który kosztuje tylko r. ass. 10. W ceny te wchodzi już i opłata poczty. W Warszawie, kompletne exemplarze Balamuta z lat zeszłych, znajdują się w księgarni PP. Zawadzkiego i Węckiego.

Печатать позволяется. С. - П. - бургъ, Генваря 27, 1854. Ценсоръ П. Гавескій.

ВЪ ТИПОГРАФИИ КАРЛА КРАЙД.